



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



KRAJOBRAZ GRENLANDZKI.

Krajobraz Grenlandzki, który widzicie przedstawia w pośrodku ryciny domy zamieszkałe przez misjonarzy, czyli tak nazwane misye, odznaczające się od innych mieszkań powiewającą przed niemi chorągwią. Domy te różnią się tem od domów krajowców, że mają drzwi i kominy. Chaty grenlandzkie składają się z czterech ścian, ułożonych z kamieni przesypanych ziemią, w poprzek tych ścian na wierzchu kładą belki, do których przybijają krokwie, dach zaś pokrywają gałęziami

kolczastych krzaków, przysypanych po wierzchu torfem i piaskiem.

Budynki te nie mają drzwi ani kominów, wchodzi się do nich przez umieszczony w pośrodku długi, sklepiony korytarz, tak niski, że na rękach i na kolanach czołgać się po nim trzeba. Grenlandczycy przejście to dla tego robią tak ciasnem, iżby wiatru i chłodu nie dopuścić do wnętrza mieszkań. Tutaj rozpalają ogień, przy którym gotują pożywienie. Dym wycho-

dzi przez otwór na wierzch, jak w naszych kiurnych chatach. Obszerność domu odpowiednią jest do liczby zamieszkujących go rodzin. Długi pomost na stopę od ziemi wzniesiony służy za podłogę. Dom w środku podzielony na małe komórki, na podobieństwo klatek stajennych, ścianami ze skóry przybitych do belek, dach podpierających. Każda rodzina ma taką oddzielną dla siebie komórkę, nieści się zaś ich w jednym domu od trzech do dziesięciu.

Grenlandczycy oświetlają mieszkania swoje tłustością, napelniającą duże, podłużne misy, w których mech służy za knoty. Ponieważ chaty pozbawione są kominów i wszelkich innych środków przewietrzania, powietrze w nich jest niewypowiedzianie ciężkie i duszne, niedogodność ta wszakże nie zdaje się być przykrą nawykłym do niej mieszkańcom.

GÓRSKIE ZAMCZYSKO

OPOWIADANIE Z XV-go WIEKU.

p. Zuzannę Morawską.

(Dalszy ciąg).

Słowa te jak grom przebiegły po wszystkich, ci co przed chwilą żartowali ze starej kobiety, zamilkli teraz, tylko Krystyan rzucił przez zęby:

— Zawsze szalona palka!

Ale ktoś ulitował się zawodzeniu babuli i rzekł pocieszająco:

— Nie zawódźcie, babulo, dzielny to chłopak, nie mu się nie stanie.

— A nawet zda się widziałem maleńką łódkę, jakiej między naszymi nie było, to pewnie Bogum się w niej uwijał — rzucił inny.

— Widziałeś? napewno widziałeś — wołała babula, chwytając za rękaw rybaka.

Rybak odwrócił się od starej, boć się zasromił swego miłosiernego kłamstwa, popełnionego dla uspokojenia sąsiadki. Ofuknął więc:

— Dajcież mi pokój, toć widziałem. I wyciągnął wraz z innymi swą zdobycz z zalanej wodą łodzi.

— Oj Wilhelmie, Wilhelmie, pocóżecie mu dopomagać — wołała z wymówką babula.

Wilhelm też rzeczywiście stał teraz zasmucony, nie mógł mówić i snadź żałował krewkości, która go kiedyś władzy w ręku pozbawiła.

Powoli burza nawet w oddali huczeć przestała, chmury leniwo rozchodziły się po niebie, deszcz ustawał, ostatni promyk czerwono zachodzącego słońca wyjrzał na chwilę i skąpał się w czarnem nachmurzonym jeziorze.

Łodzie jedna za drugą nadpływały, ludzie przemoczeni, strwożeni i znużeni ciężkim, kilkogodzinnym wysiłkiem i walką z żywiołem, rozchodzili się do chat, gwarząc z witającymi ich radośnie.

Nikt jakoś nie zginał, burza wprawdzie porobiła straszne spustoszenia, zabrała część połowu, część mozolnej pracy rybaków, lecz i tak radość błyszczała na ich twarzach, że z życiem zdolali się na brzeg wydostać.

We wszystkich też chatach było rojno i gwarno, krzątano się koło komina wesołym buchającym ogniem, tylko jedna babula siedziała samotna, wdychała, ocierając od czasu do czasu oczy fartuchem i poprawiała ożogiem dogasające ognisko.

I nie dziw, że smutno było babuli, toć od lat piętnastu Bogum nie opuszczał jej nigdy i zawsze wieczorne spędzał z nią godziny.

Miała na kogo oczekiwać, komu przyrządzać wieczerzę, wreszcie na kogo pogderać, a teraz! Westchnęła i lzy spłynęły po jej zwiedlonych policzkach.

— Ach ten Wilhelm, ten Wilhelm, on mu dopomógł a niby przyjacieli! narzekala, a potem znów zaczęła:

— Ni to mi syn, ni wnuk — mówiła sama do siebie, aby przerwać głuchą ciszę — a tak człowiek się do tego robaka przyzwyczail!... Ba, i w chacie też lepiej się działo — dodała uśmiechnąwszy się jakoś wśród łez tajemniczo. A teraz? — myślała już sobie pocichu — teraz, chłopaka mi żal sercem, toć Bóg widzi, ale... i urwała wątek myśli jak gdyby bała się z niemi zdradzić sama przed sobą.

— Bóg wie jak teraz będzie! — westchnęła po chwili, dorzuciwszy gałązkę nędznego chrustu na ogień. Zazdrościli mi ludzie chłopaka, zazdrościli, Bóg wie co gadali, i ot złe języki i złe oczy nieszczerście nasłaly! — mówiła sobie znowu, podparłszy ręką głowę.

Kiwała się tak przez chwilę przed słabo tlejącym ogniem, zdawało się, że zdrzemnęła trochę i troska jej się nieco ukoila, aż znowu półgłosem mówić do siebie poczęła:

— A takie to było dobre, a takie roztropne od pieluch! Ledwie to zaczęło pierwsze wyrazy wymawiać, ludzie napańczyć się nie mogli, jak mu wszystko szło składnie. Ba, a jak podrośł, co to z nim było uciechy! a jak też zaczął chodzić do Salzburga, to ile razy wrócił, człek nie mógł się wydziwić tym mądrościami, które jak stary opowiadał. Do pracy też się nie lenił, a co jeno wziął w rękę to mu tak szło, jak gdyby się z tem urodził. Chrust nosić, to nosił, krowę paść to pasł, ryby łowić to i najstarszego mógłby nauczyć, a jak wziął wiosło, Panie odpuść, toć jakby przyrósł do niego, jeno migalo po jeziorze! Mignął też i on nieboraczek! boć jak sobie co ułożył, to mu już nikt tego z głowy nie wybił. Oj ta zaciętość zgubiła chłopaka, oj zgubiła! — powtarzała staruszka, kołysząc głową, którą już teraz w obu rękach trzymała.

Wyczerpały się też znać wspomnienia, czy też sen skleił powieki babuli, bo w chacie jej ucichło zupełnie a ogień nie podsycały dogasał powoli, rzucając tylko od czasu do czasu słabe płomyki z pomiędzy rozsypującego się w popiół zwęglonego chrustu. Wreszcie i płomyki przestały się wymykać, nawet iskierki przysypane dużą warstwą białego popiołu nie skrzyły się po wierzchu. Izba zaległa zupełna ciemność, tylko niewielkie okienko czerniało ciemną plamą, wśród białko wybielonych ścian starej chaty.

I na całym pojezierzu we wszystkich chatach światła pogasły. Rodziny rybackie nasyciwszy wrażliwy umysł opowiadaniem przeżytych wśród burzy niebezpieczeństw, a ciało skromną wieczerzą, legły snem ludzi pracowitych.

Na czarne zaś niebo pokryte do niedawna groźnemi chmurami, występowały powoli złote gwiazdki jedna po drugiej i wkrótce zajaśniały niezliczonem światłem, znacząc na ciemnem niebie drogę, którą od wieków krążyły.

Z za ciemnego boru wypłynął majestatycznie w całej pełni księżyc, odbił się złotą kulą w ciemnej toni jeziora, powoli ze złotego odbłyśku przechodził w srebrnobiałe światło i przeglądając się w wielkiem wód zwierciadle rozprysł się na kilka kul mniejszych tworząc często powtarzające się a tak zawsze piękne zjawisko.

Cisza panowała teraz dokoła, skały nad jeziorem sterzące dumnie, miejscami odarte z wszelkiej zieloności, wystawiały nagie ściany na wichry i burze. Miejscami znów pokryte niską a gęstą zielenią mchów i wrzosów, obecnie skropionych niedawnym jeszcze deszczem, wydawały ową wilgotną woń, przepełniającą górskie powietrze. A dalej kołysały się poważnie ciemne buki, strząsały od czasu do czasu krople deszczu i rozrzucały je wspaniałomyślnie na niższe od siebie

pragniemy, aby młodzi autorzy do siebie, i swego położenia podane stosowali im myśli.

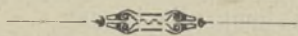
Plutek śniegu zaleca oszczędność i mówi, iżby ograniczając wydatki zależnie od dochodu, nie zapatrywać się na tych, którzy mogli więcej wydawać.

13 letni *Konik polny* z nad Warty opowiada o pieszczonej dziewczynce, która zazdroszcząc starszym siostrzom zarządzającym wyznaczonymi im funduszami, dopraszała się u rodziców o pensję miesięczną dla siebie, a potem nie umiejąc się z wydatkami rachować, narażona była na ciągłe z tego powodu przykrości, póki nie nauczyła się stawiać „wedle stawu grobli”, to jest póki z góry obmyślonym planem regulującym owe osobiste wydatki, nie wniknęła w ten ład i systematyczność stanowiącyce o nieodzownych dla nas zaletach porządku i rządności.

12 letnia *Woń leśna* zaleca rozumne obliczanie się z siłami przed każdym ważniejszym przedsięwzięciem. „Jak grobla, mówi, stosuje się do wielkości stawu, tak czyni odpowiednio do sił i zdolności stosowane być muszą. Nie powinniśmy brać się do spełnienia rzeczy, przechodzące środki i możność naszą, ileż to bowiem ludzi oplakiwało nierozważnie obraną pracę zawodową! Na poparcie słów tych przytacza przykład młodej osoby, która zbrew woli rodziców, nie słuchając rad doświadczonych ludzi, miernym zaledwie obdarzona talentem do śpiewu, obiera zawod artystyczny, naraża się na bezowocne koszta, traci w następstwie głos i zdrowie i przeceniwszy w ten sposób zdolności swoje, przysparza sobie w życiu szereg przykrości i smutnych rozczarowań.

Na pochlebną jeszcze wzmiankę zasługują prace: 10 letniego *Skowronka*, 9 letniej *Pozimki leśnej*, 10 letniej *Gwiazdki* 12 letniej *Kartki z pamiętnika*. Wszyscy zaś inni starali się mniej lub więcej udatnie wyrazić, zastosowanie w życiu dane go im za temat do prac ich przysłowia.

Sprawozdanie zatem nasze zakończamy życzeniem, aby ci, którzy tak trafnie pojęli znaczenie podanego im zadania czynem dowiedli, że zasady rozsądnego umiarkowania i przeczornej oględności, w życiu stosować umieją, przyczyniając się tym sposobem do utrwalenia swojej i drugich pomyślności.



CUDOWNA WYSPA

Najnowsza powieść Juliusza Verne'a

przekład M. D.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

KONCERTUJĄCY KWARTET.

„Złe rozpoczęta podróż rzadko kiedy kończy się dobrze.” Zdanie to z wielką słuszością mogłoby powtórzyć w tej chwili czterech artystów leżących wraz ze swymi instrumentami w bliskości przewróconego powozu, do którego wsiedli na ostatniej stacyi kolei żelaznej.

— Czy nikt nie jest ranny?... — pyta z niepokojem ten, który się pierwszy podniósł.

— U mnie lekkie draśnięcie kawałkiem szkła z rozprysniętej szyby — odpowiada drugi, obcierając zakrwawiony policzek.

— Ja mam zdartą skórę na nodze — mówi trzeci i równocześnie opatruje sobie ranę.

— Moja wiolonczela! moja wiolonczela! — woła wreszcie czwarty — oby tylko nic złego nie stało się mojej wiolonczeli!

Szczęśliwym wypadkiem pudła są nienaruszone, a cenne instrumenta trzeba będzie prawdopodobnie na nowo tylko nastroić.

— Przekłeta ta kolej żelazna, która nas w połowie drogi w tak fatalnem zostawiła położeniu! — odzywa się jeden z podróżnych.

— I przeklęty ten powóz, który się wywrócił na pustej drodze, daleko od mieszkań ludzkich — odpowiada drugi.

— I to jeszcze w chwili, gdy noc zapada — dorzuca trzeci.

— Szczęście jeszcze, że nasz koncert zapowiedziany jest dopiero na pojutrze — robi uwagę czwarty.

Po tych narzekaniach niebawem dobry humor artystów wziął górę nad fatalnością położenia, zaczęli nawet sobie wesoło żartować z całej tej nieszczęsnej przygody. Mówili między sobą po francuzku, odzywając się jedynie, choć zupełnie poprawnie, językiem Walter-Scotta i Coopera do woźnicy, który jak się okazało, najwięcej w całym tym wypadku ucierpiał, spadłszy z kozła w chwili, gdy się przednia oś u powozu złamała. Oprócz wywichnięcia nogi poniósł biedak ciężkie i bolesne obrażenia na całym ciele, to też i mowy być nie mogło, by sam bez pomocy podniósł się z ziemi. Za cud jednak rzeczywiście uważaćby należało, że przynajmniej nie było wypadku śmierci. Kamienista bowiem droga prowadząca przez górzystą okolicę, nie rzadko też po jednej lub drugiej stronie szumiał rączy potok, lub czerniały głębokie przepaście, i gdyby wypadek miał miejsce o kilkadziesiąt kroków dalej, wszystkich byłaby spotkała śmierć niechybna.

Teraz jednak powóz jest nie do użycia, jeden z koni padając złamał nogę, drugi zaś złamanym dyszlem tak mocno pokaleczony, że niepodobna, by mógł pójść niezwłocznie w dalszą drogę; więc, ni pojazdu ni koni. Trzeba też prawdziwej fatalności, jakiej ulegli nasi artyści na terytorium Niższej Kalifornii. Dwa wypadki w podróży w ciągu dwudziestu czterech godzin, to już wymaga zbyt wielkiej filozofii.

W czasie, gdy się powieść nasza zaczyna, stolica państwa San-Francisco, miała już bezpośrednią komunikację z San-Diego, miastem położonem na samej granicy Kalifornii; tamto właśnie zdążali nasi podróżni, aby dać koncert zapowiedziany oddawna i z upragnieniem oczekiwany. Gdy w wigilię dnia tego wsiedli do pociągu w San-Francisco, wszystko zdawało się najlepiej sprzyjać zamierzonej wycieczce, aż najniespodziewaniej, o jakie pięćdziesiąt mil od San-Diego, pociąg musiano zatrzymać, gdyż w skutek gwałtownej ulew spadłej tejże nocy, nasypy kolejowe zostały tak uszkodzone, iż komunikacja dalsza, aż do czasu naprawy, musiała być przerwana. Podróżnym naszym pozostało tylko do wyboru, albo czekać, aż ruch pociągów w tę stronę znowu się rozpocznie, albo też nając w najbliższem miasteczku jakikolwiek pojazd; za zgodą wszystkich wybrano to ostatnie.

Po długich poszukiwaniach znaleziono wreszcie w sąsiedniej wiosce powóz w rodzaju starego landa; okucia jego rdza już mocno zniszczyła, a sukno wewnątrz mole całkiem zjadły; nie było to więc nic eleganckiego, ale też nie było wyboru. Ugodzono się z właścicielem co do ceny wynajmu, woźnicę ujęto obietnicą sutego napiwku i zostawiając kufry i bagaże na kolei, czterej artyści umieścili się jak mogli najlepiej w starym wehikule, zabierając jedynie swe cenne instrumenta. Ruszyli tak w dalszą drogę o godzinie drugiej i aż do siódmej podawali się rafał przód, gdy nagle spotkał ich drugi, fatalny wypadek, którego przepadła możność dalszej jazdy, a d jeszcze całe mil dwadzieścia!

Dla czego jednak ci artyści po... a co więcej urodzeni Paryżanie, czną grę losu, w nieznanym str...

Dla czego?... Oto zwykła walka o byt pchnęła ich za oceany. W Europie, wybitniejszym nawet talentom trudno nieraz zdobyć sobie dostateczne utrzymanie, gdy tymczasem w Ameryce, wśród bogacących się coraz więcej Yankesów, poczęło się budzić w czasie, w którym miały miejsce opisywane wypadki t. j. około 20 lat temu, żywe zamiłowanie do sztuk pięknych, a przedewszystkiem do malarstwa i muzyki. Srowadzano więc i płacono sumy wielkie za płótna mistrzów starych i nowych szkół Europy, artystów zaś uprawiających muzykę i śpiew, obsypywano oklaskami i złotem. Dopóki gust się nie wykształcił u tego ludu żyjącego dotychczas cyframi, przekładano nadewszystko głośnie i szumną muzykę oper: Wagnera, Verdiego, Berlioza i innych; z biegiem czasu jednak, poczęto gustować w głębokich i pełnych uczuć tonach Mozarta, Haydna i Bethowena, a równocześnie muzyka sonat wprost zapalała powolnych i zimnych spekulantów. Wtenczas to właśnie czterech naszych artystów postanowiło zapoznać mieszkańców Ameryki, z nieporównaną w piękności spokojną i pełną elegancji muzyką salonową. W rachunkach swych nie doznali zawodu, bo dotąd nie brakło im ani brzęących oklasków, ani przyjemnie dźwięczących dolarów. Ich poranki lub wieczory muzykalne licznie były odwiedzane i „Kwartet koncertujący”, jak ich powszechnie nazywano, zaledwie zdołał uczynić zadość licznyim zamówieniom. Bez niego nie było uroczystości, rautu, lub zabaw urządzanych po parkach, choćby najświetniejszych, któreby zasługiwały na zanotowanie publiczne. Złoto też bogatej Kalifornii szerokim strumieniem płynęło do kieszeni smyczkowych wirtuozów, lecz niestety, nie zatrzymywało się tam zbyt długo, nie umieją bowiem oszczędzać ci książęta tonów, nie umieją ogólnie zbierać kapitałów ludzie oddani sztuce. Prowadząc życie cyganeryi artystycznej, w bezustannej podróży z Nowego Yorku do San Francisco, z Quebecu do Nowego Orleanu, z Nowej Szkocji do Texas, „Kwartet koncertujący” wydawał prawie wszystko, co im hojne ręce wielbicieli sztuki tak ochotnie rzuciły.

Zanim jednak rozpoczniemy opowiadanie o dalszych losach czterech naszych bohaterów, czas zapoznać czytelnika choćby z ogólnymi rysami ich powierzchowności i charakteru.

Yvernès, jest mężczyzną lat trzydziestu dwóch, wzrostu średniego, szczupły, włosy długie lekko falujące, koloru jasno blond, oczy ciemne, podługne o melancholijnem spojrzeniu, postawa ogólnie elegancka choć widocznie jest w niej nieco pozowania, właściwego niektórym artystom; posiada talent mogący mieć nadzieję świetnej przyszłości, w kwartecie zajmuje też miejsce pierwszego-skrzypka.

Drugie skrzypce trzyma Francolin, lat trzydzieści, przy wzroście małym dość otyły; włosy i zarost ciemne, oczy czarne, dla bardzo krótkiego wzroku nosi stale pince-nez w złotej oprawie. Natury szczerzej, wolnej od wszelkiej zazdrości i bezpodstawnej ambicji, choć zresztą zdolny bardzo muzyk. Sprawuje poważny urząd kasyera towarzystwa, i w roli tej nawołuje stale do oszczędności, dotąd jednak bez pożądanego uznania i skutku.

Ponchard, najmłodszy i najweselszy, przez kolegów żartobliwie „Ekscelencyą” tytułowany, gra pięknie na altówce; ma lat dwadzieścia siedm; przedstawia typ tych charakterów, które całe życie pozostają młode. Umysł to bystry, lubujący

się w dowcipach, na których mu nigdy nie zbywa, gotowy zawsze do zaczepki i odporu. Oczy ma rozumne, włosy rudawo blond, wąsik starannie wykrecony. W żartobliwych swych rozmowach ma tę wielką zaletę, że nie obraża nigdy nikogo i z właściwą sobie uprzejmością przyjmuje uwagi zwierzcznika.

Kwartet nasz bowiem złożył władzę najwyższą i decydującą w ręce najstarszego członka, skończonego wiolonczelisty, Sebastjana Vaillant; zasługuje on na to wyróżnienie zarówno swym talentem jako i wiekiem, ma już bowiem lat pięćdziesiąt pięć. Wzrostu średniego, włosów dotychczas blond, wolnych od siwizny, zczesywanych na czoło i skronie tak, że się łączą z bujnym zarostem twarzy; nosi stale bino-kle, z poza których widać bystre i rozumne spojrzenie. Rozmowny, gadatliwy nieledwie, umie jednak zachować przewagę nad swymi towarzyszami, którzy zgodnie przyjmują każdą jego decyzję, dotyczącą czy wyjazdu, czy nowego programu koncertu. On też załatwia wszelkie korespondencje, wszelkie układy z impresaryami miejscowości, do których się udać mają; kwestyę tylko rachunków i kasy, mniej czując się do tego zdolnym, chętnie powierzył opiece drugiego skrzypka.

(d. c. n.)

BAŃKI MYDLANE.

Każdy z nas niejednokrotnie bawił się z przyjemnością puszczeniem baniek mydlanych, żalując jedynie, że trwanie tych ślicznych kul barwnych zbyt było krótkie. Mając zamiar polecić naszym czytelnikom kilka zajmujących sposobów urozmaicenia tej zabawy, podajemy przedewszystkiem przepis przygotowania mydlin, z których powstałe bańki trwają stosunkowo dość długo. W wodzie cieplej około 15° rozpuścić dość znaczną ilość mydła białego; do płynu tego przedcedzonego przez grube płótno dolać gliceryny w stosunku $\frac{2}{3}$ części, skłócić to wszystko i pozostawić spokojnie aż na powierzchni utworzy się jakby kożuszek, który należy zdjąć, a sam płyn przefiltrować i zlać do butelki, gdzie zakorkowany stać może bardzo długo. Dodać nam tu jeszcze wypada, że aby otrzymać bańki wielkości nadzwyczajnej, winniśmy wziąć do tego zwyczajną, blaszaną trąbkę dziecinną, zamiast ogólnie używanej słonki albo trzciny.

Korzystając z mrozu jaki nam zima daje, wydmuchajmy na dworze dużą bańkę mydlaną; z początku nie będzie się ona różniła niczem od innych, w krótkim jednak czasie, woda zawarta w cieniutkiej powierzchni bańki pod wpływem niskiej temperatury, pocnie się krystalizować, jakby w drobne kwiateczki lub gwiazdki przeróżnego kształtu, które niebawem pokryją bańkę całkowicie, dając jej urok rzeczy nadzwyczajnej. Przypatrzwszy się bliżej kształtom owych gwiazdeczek, spostrzeżemy, że są one zupełnie podobne do tych, które nam dają drobne płateczki śniegu, gdy spadają pojedynczo na ubranie nasze. I rzeczywiście, śnieg powstaje na tych samych prawach fizycznych oziębienia, aż do skryształizowania pary wodnej w chmurach; igiełki te, łącząc się, tworzą gwiazdeczki, o tysiącach przeróżnych kształtów, z których kilka podajemy po bokach rycin y naszej.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TRZĘŚĆ: Krajobraz grenlandzki (z drzew.) — Górskie zamczysko, opowiadanie z XV wieku p. Zuzannę Morawską. — Jeszcze kilka słów o Korei (z drzew.) — W pustyniach Australii p. Władysława Umińskiego. — Sprawozdanie z konkursu (dokończenie). — Cudowna wyspa, najnowsza powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. — Bańki mydlane (z drzew.) — Dodatek: Przygoda z łowcą p. M. D. (z drzew.) — Kiedy płakać można p. An. Drz. — Opowiadanie starszej siostry, z angielskiego M-sa Molesworth. — Łamigłówki i rozwiązania. — Dodatek książkowy: Dla szczęścia rodziny. Przekład Maryi B.